

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

PARYSKIE GADY.

68

Amerikanin zrobił niewyraźny ruch ręką. Ani nie pochwalał, ani nie ganił tej wizyty. W każdym razie nie chciał wpływać na młodą pannę.

— Tak, to mój obowiązek — mówiła dalej. — Nie można opuszczać winowajcy... zwłaszcza gdy ponosi karę... Pójdę na bulwar Bineau.

— Jak pani chce... To jest kwestya sumienia... Jest pani zupełnie wolna.

I Lewis Jackson, mówiąc to, uściśnął rękę młodej panny. Rozumiał dobrze, jak taka wizyta musi być ciężką dla biednego dziecka i podziwiał siłę jej duszy.

Po krótkim pobycie w pałacu, miliarder wyjechał na miasto, by pozatławić różne interesy, których nie mógł przekazać nikomu obcemu. Nie zaniedbywał także swych majątkowych spraw i dnia tego odbywało się w jednym z pałaców przy Champs-Elysées zebranie głównych akcjonariuszów kolei europejskich i amerykańskich, na którym spodziewano się i jego obecności. Przytem musiał powziąć także ostatnie postanowienia, odnoszące się do odjazdu i ulokowania Maksyma Dureta. Był tem wszystkiem zajęty aż do południa i o tej porze oczekiwał jego przybycia Piotr, by zwolnić się na pewien czas ze stróżowania więźnia.

Skazaniec przez ten czas nie przestawał rozmyślać. Tak już był zniechęcony wszystkimi zawodami, iż nie marzył nawet o jakiejś pomyślnej przyszłości. Pozbył się nadziei zdobycia sobie nowego stanowiska i majątku w Ameryce południowej, do której dwa razy przecięto mu drogę. Nie chciał jednak pod żadnym warunkiem pozostawać żywym czy martwym w rękach swych wrogów. Zdecydowany był na śmierć, nie chciał jednak umierać jako więzień. Za wszelką cenę postanowił wyrwać się z tej celi, by umrzeć gdzie dobrowolnie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, grzebiąc wraz z życiem i pamięć po sobie. Lecz wśród tych bolesnych rozmyślań powracało mu ciągle na myśl jedno pytanie: „Jak się stąd wydostać?”

Próbował już krat w oknie. Były one jednak mocne i głęboko wpuszczone w mur. Tył willi wychodził na place, skąd mogli dostać się złodzieje i dlatego w ten sposób zabezpieczono się przed ich najściem. Już sto razy rozejrzał się dokładnie dookoła, szukając jakiego natchnienia, lecz nie przychodził mu do głowy żaden pomysł. Nagle koło godziny pół do dwunastej podskoczył na krześle. Oczy jego spoczęły na telefonie, wiszącym między lodownią a szafą.

Aparat ten przeznaczony był dla służby. Pan domu dla siebie miał drugi w swym gabinecie. Z tego korzystała kucharka i zamawiała nim produkty spożywcze u dostawców.

— A gdybym spróbował? — szepnął do siebie nędznik. — Kto teraz jest na straży w westibulu?... Jackson?... Smith?... Mniejsza z tem. Wszyscy są jednakowo przekonani, że trudno mnie upilnować... Tak się przyzwyczaili, że ciągle im wysługuje się z palców, iż nie zdziwiliby się, gdybym wyszedł przez dziurkę od klucza. Próbuje!

Podszedł do aparatu. W chwili jednak gdy chciał zadzwonić, cofnął się.

— Ależ oni usłyszą za drzwiami, gdy dzwonek mi odpowie i gdy będę mówił...

Z twarzy jego zniknął odrazu wyraz nadziei, jaka go ożywiała. Po chwili jednak zrobił gest mędrca, który znalazł rozwiązanie jakiego trudnego problemu i puknął się palcem w czoło. Wyszedł zaraz na krzesło i odkręcił dzwonek od aparatu. Potem wziął koldrę i prześcieradło z materaca, na-

krył tem siebie i aparat, zadzwonił i przyłożył słuchawki do uszu.

— *Hallo!* — odpowiedziano mu zaraz ze stacyi.

Maksym Duret okrywając jak najszczelniej głowę i aparat koldrą, odpowiedział:

— Proszę numer 201-04!

Głos jego, tłumiony przez podwójne okrycie, nie dochodził do westibulu.

Minęła chwila. Potem znowu ktoś się odezwał:

— *Hallo!* Kto mówi?

— To pan, panie Radoux? — spytał prezes.

— Ja... Jaktó? To pan prezes?... Myślałem, że pan wyjechał!

— Musiałem wrócić z powodu bardzo ważnego interesu. Lecz nie o tem chcę teraz mówić. Muszę pana prosić o pewną przysługę...

— Proszę bardzo, czem mogę służyć panu prezesowi?

— Niech pan sobie wyobrazi, że jestem obłączony...

— Ach! pewnie interesanci z dobroczynności dobijają się do pana.

— Nie... są to nawet najlepsi moi przyjaciele... Piotr Cartelgue i inni. Lecz na żaden sposób nie mogę ich przyjąć... Kazałem im powiedzieć, że mnie niema w domu... a oni usadowili się w westibulu, oczekując mego powrotu.

— Och! do licha! To przykre. W jaki sposób mogę pana wyprowadzić z tego kłopotu?

— W bardzo prosty, przychodząc do mnie. Ma pan wszystkiego trzy minuty drogi.

— I co mam u pana zrobić?

— Powiedzieć im, że pan mnie spotkał na ulicy... na ulicy na przykład du Marche. Niech pan doda, że powiedziałem, iż nie wrócę przed wieczorem.

— Bardzo dobrze.

— Niech pan wspomni także, iż bardzo się spieszylem i że siadałem do dorożki...

— Chętnie! Zaraz idę!

— Dziękuję z góry!

— Niema za co. Ale... wizyta moja może się wydać nienaturalną. Po co przychodzę, jeżeli przed chwilą pana widziałem?

— Uda pan, że przychodzi po parasol, zostawiony poprzedniego dnia.

— Doskonale! Już idę!

Prezes zawiesił słuchawki, złożył z powrotem na materacu koldrę i prześcieradło i podszedł do drzwi prowadzących do westibulu. Drżał cały z niepokojem, czy wszystko tak się stanie, jak sobie ułożył.

Wkrótce rozległ się głos dzwonka u drzwi wchodowych. Niepokój Maksyma Dureta doszedł do kulminacyjnego punktu. Twarz jego okryła się potem. Słychać było na korytarzu czyjeś kroki. To Joe Smith poszedł zobaczyć kto dzwoni.

— To pan Radoux! — rzekł po chwili.

— Trzeba przekonać się, czego chce — odpowiedział Piotr.

Amerikanin wyszedł otworzyć fartkę od ogródka.

— Jak się pan ma? — zawołał notaryusz z uśmiechem. — Co za szczęśliwe spotkanie! Lecz dlaczego to pan otwiera drzwi?

— Niema służącego — odrzekł Joe Smith, nie dając innego wyjaśnienia. — *Well!* Czego pan sobie życzy?

— Przyszedłem po parasol... którego tu zapomniałem.

— Ach! *Well!* Niech go pan weźmie...

I przechodząc przez ogródek, skierowali się do westibulu.

— Czekają na pana prezesa? — spytał notaryusz.

— Tak — odpowiedział lakonicznie Jankes.

— Nie wróci on jednak przed wieczorem!

— Przed wieczorem? — powtórzył zdumiony Smith.

— Tak, powiedział mi to przed chwilą!

— On to panu powiedział?

— Dopiero co... Tu blisko... Na ulicy Marche... Tam go spotkałem. Wchodził do dorożki... Mówił, że bardzo mu się śpieszy...

Smith, który podchodził już do drzwi, stanął osłupiały. Rękami schwycił się za szyję, na której nabrzmiały mu żyły. Zdawało mu się, że jakiś niewidzialny krawat go dusi.

Nagle oprzytomniał i krzyknął głośno:

— *Prędko!* uciek! jest już daleko!

Piotr jednym susem wyskoczył z westibulu.

Notaryusz przestraszony cofnął się przed nim na bok.

— Radoux widział go przed chwilą na ulicy Marche! — wołał ochryplym głosem. — Gdzie ona jest?

— Ja wiem! — zawołał Piotr i puścił się na przód.

Sekretarz Lewisa Jacksona pobiegł za nim. Wskoczyli razem do samochodu, który czekał przed willą na króla stu dwudziestu koni i z miejsca ruszyli pędem.

Notaryusz stał nieruchomo z otwartymi ustami, nie wiedząc, co to wszystko znaczy.

Nagle usłyszał głos Maksyma Dureta. Prezes walił pięściami w drzwi i wołał go:

— Niech pan idzie prędzej!

Pan Radoux usłuchał wezwania.

— *Tędy!* — rozkazywał pan domu. Jestem w spiżarni. Niech pan otworzy kluczem!

Notaryusz na pół przytomny podszedł do drzwi i odkręcił klucz.

Maksym Duret wybiegł tak szybko, iż omal nie przewrócił swego zbawcy.

— Ależ, panie prezesie, co... co to... znaczy?...

Więzień jednak nie odpowiadał, lecz wybiegł do ogródka. W dwie sekundy był już na chodniku na bulwarze Bineau. Dorożka samochodowa, która stała tam, gdy wychodził Jackson, jeszcze nie odjechała. Szofer nie skończył jeszcze czytania swej gazety.

— Jestem wolny...

Maksym Duret podbiegł już do dorożki, której usłużny szofer zeskoczył ze swego miejsca, by otworzyć mu drzwiczki, gdy nagle prezes stanął jak wryty. Przed willą zajeżdżał drugi samochód, z którego wychodziła Kamilla i Maurycy de Terrade.

Młoda panna i inżynier również stanęli zdumieni. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

Nędznik jednak odwrócił zaraz głowę i siadł do samochodu.

— Dokąd mam jechać? — spytał szofer.

— Do... Saint Denis — odpowiedział na chybił trafił prezes, pragnąc jak najprędzej oddalić się od swego więźnia.

Dorożka zaraz ruszyła.

Kamilla wsparła się na ramieniu Maurycyego.

— On ucieka? — szepnęła.

— Tak i mnie się zdaje — odrzekł Maurycy. — Jak mu się to udało?...

— Niech pan odeśle nasz samochód. — Szofer widział jego ucieczkę. Mogą go wypytywać.

Maurycy tak błądy jak i młoda panna, spełnił jej prośbę. Ledwie samochód ich odjechał, gdy zaraz nadjechali Piotr i Smith i rzucili się do willi.

Maurycy i Kamilla usłyszeli krzyki w willi. To niefortunni dozorczy stwierdzali zniknięcie swego więźnia i żądali wyjaśnień od pana Radoux.

— Pan skłamał! — wołał Piotr. — Pan nie mógł widzieć, jak Duret siada do dorożki na ulicy Marche... Ulica ta jest zagródzona z obu końców. Poprawiają na niej bruk...

— Pan skłamał! — powtarzał Joe Smith. — To pan otworzył mi drzwi?

Notaryusz zmieszany milczał, trzęsąc się na swych chudych nogach.

Piotr i Smith zaraz odwrócili się od niego i wybiegli na bulwar do Kamilli i Maurycyego.

— Wyście tu byli, gdy on uciekał? — zapytał król stu dwudziestu koni.